

Fragment *Annalium Poloniae climacter secundus, bella Sveticum, Transylvanicum, Moschoviticum aliasque res gestas ab anno 1655 ad annum 1661 inclusive continens* Wespazjana Hieronima Kochowskiego (1633-1700) – wybitnego historyka i poety polskiego baroku, przedstawiciela filozofii i literatury sarmackiej

1. Gdy Szwedom zachciało się wojny ze świętym przybytkiem

[Burchard Müller von der Lühnen, generał wojsk szwedzkich], wyprawivszy się do Jasnej Góry częstochowskiej, miał trudniejsze zadanie do spełnienia, porwał się bowiem na Pana Boga. Cóż warta gwarancja zachowania religii katolickiej, skoro miejsca kultu narażone są na gwałt? Nie dość że ludzi ciemiężyli, jeszcze i ze świętym przybytkiem zachciało się Szwedom wojny. Jasna Góra poświęcona jest Niepokalanej Dziewicy Marii, ponieważ tutaj znajduje się jej wizerunek, malowany na cyprysowej desce przez św. Łukasza Ewangelistę, słynny z licznych cudów. Zyskała sobie sławę dobrodziejstwami, które tu wszelkiego rodzaju ludziom cudownym sposobem są wyświadczone, i to właśnie zachęciło nieprzyjaciela do sięgnięcia po zgromadzone w niej bogactwa, domyślał się bowiem, że ludzie od przeszło trzech stuleci spłacali przez wdzięczność otrzymane dobrodziejstwa pamiątkowymi wotami, i chciał teraz owe wota obrócić świętokradczo na koszt wojny. Inicjatorem niegodziwego przedsięwzięcia, jak wieść niosła, był Czech, Jan Weihard hrabia Wrzesowicz. Burchard Müller (...) uznał, że bez większego trudu zdoła sam posiąść wspaniałą zdobycz, zaś niesławę czynu złożyć na swego współnika, wysłał przeto wspomnianego Wrzesowicza przodem do świętego miejsca na czele czterech tysięcy żołnierzy, żeby demonstracją siły napędził stracha zakonnikom. Wrzesowicz przy dźwięku trąb podstąpił pod klasztor i groźnie rozkazał, żeby mu natychmiast otworzono bramy, niepomny tego, że niegdyś to święte miejsce czcił i szanował. Spotkał się jednak z odmową, uzasadnioną względami religijnymi, wobec czego Szwedzi postanowili użyć siły.

Za Wrzesowiczem, który szedł przodem, przybył z Wielunia Müller na czele dziewięciu tysięcy piechoty, prowadząc ze sobą działa. Była to straszliwa potęga; wojsko Müllera miało być użyte na wojnie pruskiej, tutaj zaś tylko jak gdyby po drodze wystąpiło. Wrzesowicz spodziewał się, że zdoła namówić zakonników, żeby zaufali swojej dawnej z nim znajomości i otworzyli klasztor

przed wojskami Karola, a gdyby nawet nie chcieli tego uczynić, to że demonstracja zbrojna zmusi ich, żeby postąpili tak, jak całe królestwo, i swój klasztor, słaby kurnik, poddali pod władzę zwycięzcy. Ale oba przypuszczenia były mylne. Ojcowie jasnogórscy, wezwani do wpuszczenia szwedzkiej załogi, odpowiedzieli śmiało, że na służbę bożą związani są ślubami i że przysięga ta każe im bronić miejsca z dawien dawna otaczanego kultem, gdyż wydać je w ręce ludzi świeckich byłoby świętokradztwem. JKMć króla szwedzkiego szanują jako pana łaskawego i pozostają dla niego z całą należną uniżonością, ale obstają przy tym, że Jasna Góra cierpi gwałt od wojska szwedzkiego bez jego wiedzy, gdyż jest on protektorem religii katolickiej i całego królestwa. Powołali się ponadto na specjalne pismo, w którym król uroczyście przyrzekł, że Jasna Góra będzie wolna od wszelkich ciężarów na rzecz wojska, a cóż dopiero od oblężenia.

2. Gwałtowne ataki i podstępne namowy

Kiedy namowy nie dały żadnego rezultatu, Szwedzi zabrali się do gwałtownego bombardowania murów, następnie zaś, żeby rzucić postrach na obrońców, zaczęli miotać płonące żagwie, skutkiem czego zgorzał klasztorny spichlerz, w którym zgromadzone było mnóstwo zboża. Potem poustawiali dookoła klasztoru kosze i drewniane osłony oraz wzniesli nasypy dla dział. Müllerowi przypadły w udziale stanowiska od strony północnej i stamtąd przypuszczał szturm; z drugiej strony nacierali landgraf heski i pułkownik Wacław Sadowski. Natarcie nie odniosło wielkiego skutku, ponieważ mury klasztorne były wewnątrz wypełnione ziemią i zaledwie kilka cegieł, trafionych kulami, uległo wykruszeniu. Jasnogórcy niedługo namyślali się z odpowiedzią na bombardowanie i otworzyli ogień, przy czym ich puszkarze strzelali tak celnie, że po upływie trzech godzin nieprzyjaciel, zepchnięty z klasztornego przedpola, cofnął się, ponosząc od kul znaczne straty. Ponieważ przytykające do klasztoru domy dawały nieprzyjaciółom schronienie i stanowiły dla nich kryjówkę, ich mieszkańcy, nie dbając na szkodę, podłożyli pod nie ogień i obrócili je w perzynę, a płomień tym prędzej je objął, że pod ich dachami znajdowało się zwiezione z pola zboże, niektóre zaś kryte były słomą i skutkiem tego łatwo zapalne.

Następnie Müller znów wysłał listy i uciekł się do namów, usiłując przy pomocy pochlebiających słów jak najprędzej warownię opanować, żeby po dokonaniu tego wielkiego dzieła móc niezwłocznie wyruszyć z królem do Prus; może zresztą chodziło mu o to, żeby pod pozorem rokowań zyskać trochę czasu na wzniesienie wojskowych umocnień.

Dziewiętnastego listopada, w dzień Ofiarowania Najświętszej Panny, Szwedzi znowu przystąpili do natarcia, z większą niż poprzednio siłą, gdyż dostarczono im z Krakowa sześć burzących dział i wielką ilość amunicji. Żołnierze, świeżo ściągnięci z pobliskich załóg, z zapalem rwali się do szturm. Na znak dany do ataku działa zaczynają miotać błyskawice i przeraźliwe grzmieć, podnosi się mocniejsza niż poprzednio wrzawa w gęstych, uformowanych w kliny szeregach, rozlegają się straszliwe grzmoty i sypie się grad pocisków, a cały

nieboskłon, zasnuty dymem, zaćmiewa się prochowymi wyziewami. Gigantomachia, czyli opis tego oblężenia, utrwalony w druku, zaświadcza, że kule i różnego rodzaju pociski tak gęsto padały na kościół i na przytykającą do niego wieżę, że Jasna Góra, spowita dymem i ogniem, zdawała się stać w płomieniach. Ale starcie z siłami nadprzyrodzonymi Szwedom się nie powiodło: ich pociski odpadały od murów albo przelatywały ponad dachem kościoła, nie wyrządzając żadnej szkody. Ani doświadczeni puszkarze, ani mistrzowie sztuki pirotechnicznej nie na to nie mogli poradzić: kule chybiały dachówek, a gorące żagwie odskakiwały od gontów jak od litej skały. Nieprzyjaciele przypisywali bezskuteczność swoich usiłowań czarom, ponieważ wielu z nich ginęło straszną śmiercią. Wstyd opanował słynnych wojowników, zdobywców tylu twierdz, że muszą sromotnie ustępować przed gromadką niewojennych zakonników, zamkniętych w swoim klasztorze. Jak tylko któryś znalazł się w zasięgu strzałów, natychmiast padal od celnej kuli wystrzelonej z murów. A już najbardziej gniewało Müllera to, że podczas szturm, jakby na urągowisko, śpiewacy klasztorni, zebrani wysoko w chórze na wieży, zawadzili pobożne pienia do wtóru walczącym.

Wśród oblężonych znajdowali się miecznik sieradzki Stefan Zamoyski herbu Róża, następnie stryjeczny brat kasztelana kijowskiego Piotr Czarniecki, dalej Krzysztoporski, Skórczewski i sporo sieradzkiej szlachty, która przyłączyła się do jasnogórców i uczestniczyła w obronie. Zwierzchność nad wszystkimi, odkąd zagroziło niebezpieczeństwo, mieli wspólnie przeor klasztoru Augustyn Kordecki oraz Zamoyski; ten ostatni dowodził piechotą, która strzegła murów, Kordecki natomiast nad najważniejszymi sprawami czuwał, szczególnie zaś troszczył się o działa.

Szwedzi przerwali szturm, widząc daremność swoich usiłowań, a także z uwagi na zapadający zmrok. Czarniecki postanowił zakłócić nieprzyjacielowi nocny spoczynek: wyszedłszy z murów na czele sześćdziesięciu żołnierzy załogi, cichaczem podsunął się aż do stanowisk generała, gdzie z krzykiem i gęsto strzelając uderzył na strudzonych i pogrążonych we śnie Szwedów. Grozę położenia napadających potęgowała północna pora; wreszcie Müller, porwawszy się z posłania, kazał dać w trąby i zaczął zwoływać swoich ludzi, ażeby dali odpór atakującym. Czarniecki, odważnie i żwawo sobie poczynając, zniósł doszczętnie straż nieprzyjaciół i uderzywszy na tych, którzy pilnowali dział na nasypach, wysiekl ich do nogi, a potem z takim samym impetem startł się z tymi, którzy spieszyli z odsieczą. Znaczna część nocy minęła w ten sposób wśród zamieszania i Szwedom sprawiono większą rzeź, niż to liczebność wycieczki zapowiadała. Koło dział, z ręki samego Czarnieckiego, padł gubernator Krzepic, hrabia Horn, potomek znakomitego rodu, wyborny budowniczy wojskowych umocnień; zginęli również oberszterlejtant de Fossis, Włoch, oraz oficer Wrzesowicza. O tym, że poległo bardzo wielu prostych żołnierzy, przekonano się z liczby rannych i zabitych, których nieprzyjaciel nie bez trudności przewoził do Krzepic. Spośród jasnogórców zabity został jeden tylko Węgrzyn: kiedy oddalił się od swoich, któryś z jego towarzyszy wziął go za Szweda i przeszył kulą.

3. Bóg ocalił to święte miejsce i ludzi

Müller zaczął teraz pozorować łagodność. Jego wysłannicy namawiali obrońców do kapitulacji, a nawet wśród naszych, o hańbo, znaleźli się tacy, którzy to samo ośmielili się zakonnikom doradzać. Ale dostali należną odprawę: zlekceważono groźby nieprzyjaciela, wzgardzono pochlebstwami, przetrzymano dzielnie szturmy, w porę ukrócono niesnaski wśród załogi, zaś tych spośród zakonników i szlachty, którym serce zadrżało, umocniono w wytrwałości, naprawiono otwory i szczyrby w murach – jednym słowem dokonano tego, że Jasna Góra, miejsce, gdzie Bóg upodobał sobie przebywać, trwała niewzruszona. Ręka pojedynczego człowieka, przełożonego klasztoru, i nieugiętość kilku starców niewiele znaczyły wobec tak wielkiej potęgi nieprzyjaciół, ale Bóg uczynił mocnym swoje ramię. Nie ludzie Jasną Górę, lecz Bóg miejsce święte i ludzi ocalił, gdyż bardziej tam cudami niż orężem walczone. Gęsta mgła osłaniała klasztor przed szturmem; kule odpadały od dachu kaplicy i leciały nazad, sam Müller widział niewiastę w błękitnej sukni, jak na murach rychtowała armaty i zwracała pociski w przeciwną stronę; sędziwy jakiś starzec napędzał stracha kopaczom, drażącym podkopy; jeden ze Szwedów, gdy w obraz rusznicę wycelował, zdrętwiał, drugiemu lufa przywarła do policzka, że aż cyrulik ją musiał odrzynać; granat, napełniony materiałem wybuchowym, wpadł do kołyski, w której leżało dziecko, i rozpęknał się, ale chłopcu, jak gdyby go jakiś amulet strzegł, nie wyrządził żadnej szkody; sześciu puszkarzy nieprzyjacielskich w jednym czasie proch armatni oślepił; popękało równocześnie wiele dział. Pomijam inne zdarzenia; dość wspomnieć, że nawet nieprzyjaciela uważali je za przeciwne naturze i głośno o tym mówiły opisy wszystkich tych zdarzeń, potwierdzone świadectwami wiarygodnych ludzi, zachowały się do dziś w klasztornym archiwum.

Tymczasem oblężenie zwykłym trybem dalej się toczyło. Szwedzi nieustannie bombardowali mury, drażyli wykopy i przypuszczali szturmy, oblężeni zaś odpowiadali im ogniem armatnim, robili częste wycieczki, zakładali kontrminy i dla pozorów, jak gdyby łagodząc sytuację, uciekali się kilkakroć do próśb, a częściej jeszcze napomykali o układach.

Żołnierze kasztelana kijowskiego po kapitulacji Krakowa stanęli w leżach w ziemi siewierskiej, którą im Karol przeznaczył na miejsce odpoczynku. Spędzali tam czas spokojnie, ufając solennemu królewskiemu przyrzeczeniu. Müller wyprawił do nich swoją jazdę, otoczył część z nich, głównie żołnierzy Wolfa, i jako liczebnie słabszych, siłą sprowadził pod Jasną Górę, nakazawszy im uprzednio złożyć wojskową przysięgę szwedzkiemu królowi. Jasnogórcy rozpoznali polskie sztandary i ogarnął ich smutek, że swoi liczą się do nieprzyjaciół, zamiast jak katolikom przystało, znajdować się wśród obrońców. Wnet wszakże od jednego z Polaków, który uciekł od Szwedów, dowiedziano się, że wbrew własnej woli zostali zmuszeni do pójścia w niewolniczą służbę z leż zimowych, gdzie zaufawszy solennemu przyrzeczeniu przebywali. Pewnego rodzaju pociechą było to, że kasztelan kijowski zorientował się w zamiarach

Szwedów i zdążył siebie i swoich ludzi wyprowadzić z grożącego niebezpieczeństwa.

Zakonnicy, jeszcze przed początkiem oblężenia, zatopili w pobliskim stawie srebrny sprzęt kościelny, uważając, że bezpieczniej ukryć kruszec w wodzie pod lodem niż wystawić go na widok dla pobudzenia ludzkiej chciwości. Otóż zdarzyło się, że hałastra z polskiego obozu - rodzaj ludzi, którzy nawet rybom nie przepuszczają - wyłowila z wody siecią srebrne przedmioty (u Szwedów służyło bowiem ponad tysiąc naszych, pod Kalińskim i Kuklinowskim). Wspanialej zdobyczy nie dało się ukryć i wieść o niej doszła od hałastry do jej panów, od nich z kolei do dowódców, na koniec zaś do samego Müllera, który bynajmniej nie pogardzał tego rodzaju drobiazgami i który na mocy przysługującego mu prawa kazał wszystko przynieść do siebie. Ale Polacy sprzeciwili się temu stanowczo, oświadczając, że znalezionych rzeczy nie godzi się oddawać nikomu prócz Boga, któremu są poświęcone. Wyniknął stąd spór między dowódcą a podwładnymi, aż wreszcie general, żeby nie dopuścić do nieposłuszeństwa, zrobił podarunek z tego, czego sam nie mógł posiadać, i polecił oddać srebro jasnogórcom. Za pomocą przebiegłej laskawości zastawił na nich pułapkę: odsyłał małą część kruszcu, żeby otworzyć sobie drogę do zrabowania wszystkiego. Zwrócił zatem ojcom srebro jako dar przez Piotra Sładkowskiego, polskiego rotmistrza, który wynosząc pochwałami dobrodziejstwo Müllera miał doradzać kapitulację. Ale Sładkowski, człowiek prawy, poczuwał się do większej powinności wobec Boga niż wobec ludzi i raczej zachęcał ojców, żeby jeszcze pilniej przykładali się do obrony, aniżeli ich od takiego zamiaru odwodził; wyraźnie dawał im do zrozumienia, że powinni wytrwać, żeby ocalić święte miejsce i siebie samych, gdyż niedługo powróci do Ojczyzny Kazimierz, albo też z pomocą skrzywdzonemu władcy pospieszą Tatarzy (jeżeli już chrześcijanie nie zechcą).

4. Zwycięstwo w dzień Bożego Narodzenia

Tymczasem nastąpiła zima, nie sprzyjająca działaniom oblężniczym i uciążliwa dla Müllera. Był on wścickły, gdyż przewidywał, że daremne przedsięwzięcie okryje go niesławą. Kapitulacja się odwlekąca, nadzieja na zdobycie Jasnej Góry gasła, wyrażał się więc srogimi słowami, a kiedy mu już grózb zabrakło, wszystko się w nim zaczęło gotować ze złości. Swoją sławę, nabytą w Niemczech podczas długotrwałych wojen, zbrukał teraz niezatartą hańbą: jemu, zwycięskiemu wodzowi, triumfatorowi niezliczonych bitew, sromotnie dali odpór mnisi, nienawykli do wojny i (jak sam się pogardliwie wyrażał) z brody tylko będący mężami. Jako człowieka walecznego nie mniej go to gniewało, że zakonnicy jak gdyby się z niego naigrawali: zwracali się do niego z prośbami, a jednocześnie strzelali z dział; spokojnie do niego przemawiali, a zarazem wyrażali mu szkody. Widział też, że nie ma już żadnej nadziei ani na odzyskanie dobrej sławy, ani na pomszczenie strat w ludziach i że całkowicie pozbawiony

został możliwości wywarcia na obrońcach swojej zemsty. Jego siostrzeńca, leżącego na posłaniu, kula armatnia rozszarpała na strzępy; jego samego, człowieka skądinąd nieporuszonej odwagi, jakiś zły duch straszyl; oblężeni porwali kilka dział z nasypów, kilka zaś innych zagwoździli, czyniąc je tym samym bezużytecznymi. Poległo takie mnóstwo oficerów i żołnierzy, że później poszło to u Szwedów w przysłowie i mówiono: Jeżeli jesteś mężczyzną, idź, zdobywaj Częstochowę.

Ostatnim w owym czasie natarciem a podobno natarcie takie bywa najbardziej zacięte zagroził Müller Jasnej Górze w sam dzień Bożego Narodzenia, ze wszystkich dział strzelając jednocześnie i całe wojsko wysyłając do szturm. Nad oblężonymi zawisło tym większe niebezpieczeństwo, że groziło im również od wewnątrz, w wielu bowiem obrońcach zadrżała odwaga i stracili wiarę w to, że zawziętość nieprzyjaciela można przemóc. Atoli za zrządzeniem Bożym powszechne stało się przeświadczenie, że człowiek nie powinien uważać za swoje dzieło tego, co sam Bóg czyni i jasnogórcy, skarceni tym przypomnieniem za upadek serc, znowu nabrali odwagi albo też, słysząc robione im wymówki, taili swój strach. Kordecki podnosił na duchu zakonników, Zamoyski pokrzepiał szlachtę i żołnierzy, ponieważ zaś na wojnie czyny zwykle więcej znaczą niż upomnienia, zrobił w samo południe wycieczkę. U wejścia do podkopu zabił trzynastu kopaczy, resztę rozproszył i dotarł aż do nieprzyjacielskich szańców.

W owym czasie Müllerowi znowu zdarzył się fatalny wypadek: jadł właśnie śniadanie w dość odległym domu i siedząc przy stole złorzeczeniami odgrażał się Jasnej Górze, gdy nagle żelazna kula, przebiwszy ścianę, rozrzuciła potrawy, potłukła kieliszki i flasze, strwożyła współbiesiadników, a jego samego straciwszy rozpęd uderzyła w ramię. Dzięki temu wszystkiemu, z łaski niebios, wytrzymałość jasnogórców okrzepła i z taką jak na początku odwagą aż do samego końca wytrzymali oblężenie. Zaczęli je Szwedzi od przysłania listu i listem je również zakończyli. Müller wystosował do obrońców pismo następujące:

„Wielebni, Jaśnie Wielmożni (...) Panowie! Listy wasze zaleciły się nam zwykłym swoim sposobem: sam w nich tylko dym, godzin dymu i ognia, same nam gładkie słówka prawicie, żeby działać na zwłokę, a tym samym upornie odmawiać poddania się królowi szwedzkiemu, panu potężnemu i miłościwemu. Cóż możemy uczynić ponad to, co już uczyniliśmy, skoro wciąż stawiacie łaskawemu królowi czoło twardsze niż skała? Dobrze wiecie, że sami przygotowujecie się o zgubę. Wspaniałomyślnie proponujemy wam do wyboru dwa sposoby ocalenia: albo fortecę i siebie samych poddacie pod protekcję JKMc i króla szwedzkiego, pana naszego miłościwego, albo też złożycie przysięgę na wierność, zaś jako rekompensatę za długotrwałe oblężenie i za szkody wyrządzone całemu królestwu a zarazem wyraz należnego dla władzy szacunku zakonnicy zapłacą czterdzieści tysięcy talarów, a drugie tyle zapłaci szlachta przebywająca na Jasnej Górze - bez zwłoki i ociągania się. Jeżeli żadnego z tych dwóch sposobów nie wybierzeć, to karę za wasz upór, godzin Buzyrzysowego stosu albo byka Perillus, taką samą miarą wam odmierzymy. Dan w obozie.

dnia 25 grudnia Roku Pańskiego 1655”

Zakonnicy w odpowiedzi lamentowali, że nie mają pieniędzy, że już i żywności im brakuje i zginęliby z głodu, nawet gdyby ich nie oblegano, gdyż klasztorne folwarki, które ich żywią, zniszczył ogień, podłożony przez hrabiego Wrzesowicza. Do listu dołączyli kilka obrazków Najświętszej Panny, różaniec oraz drukowaną historię obrazu - dar stosowny do zakonnego ubóstwa i do okoliczności. Tego rodzaju drobiazgow nikt nigdy chciwemu generałowi nie ważył się przysłać.

Wreszcie w nocy poprzedzającej dzień św. Szczepana Męczennika, Szwedzi zaczęli ściągać działa z nasypów, zbierać sprzęt oblężniczy i wyprawić wozy w kierunku na Kłobuck; na ostatek oddziały piechoty i jazdy, wyruszywszy o godzinie dziesiątej przed południem, opuścili Jasną Górę. Muller podążył do Piotrkowa, mając zamiar udać się stamtąd za królem do Prus; Sadowski pospieszył do Kalisza, Wrzesowicz do Wielunia, a książę heski do Krakowa Zgrzytali zębami, że ominął ich spodziewany kasek i że najedli się wstydu.

Wprawdzie heretycy nie wierzą, że kule odskakiwały od murów Jasnej Góry naturalnym sposobem, ale dalsze wydarzenia dowiodły, że pomyślność Szwedów odbiła się od świętego miejsca, na które napadli, jak od twardej ściany, i że od owej chwili fortuna już się od nich odwróciła. Sam obraz, namalowany na cyprysowej tablicy ręką wielkiego artysty, ojcowie zakonni, jak wiadomo, jeszcze przed oblężeniem wywieźli z Jasnej Góry na Śląsk do Lublińca, ale w ołtarzu umieszczona była kopia, która barwami i rysunkiem przypominała oryginał. Wszystko, co o oblężeniu Jasnej Góry, świętokradczo przedsięwziętym i niesławnie zakończonym, opowiedziałem, jest prawdziwe; jednakże szwedzcy dziejopisarze przemilczą całe to wydarzenie, przytłumiając zarówno hańbę daremnego usiłowania, jak i chwałę przez Boga sprawionej obrony (...).

5. Jasna Góra ocalona z gwałtownej napaści dodała Polakom odwagi

Tak więc po raz pierwszy szczęście przestało sprzyjać nieprzyjaciołom i przyćmiła się ich sława. Szwedzi, chęłpiący się zwycięstwem nad całą Polską, odparci zostali od klasztoru częstochowskiego, o którego zdobycie daremnie się kusili. Zaiste, nie było to chlubą dla Müllera, który niegdyś pozyskał sobie opinię wodza tak doświadczonego, że podczas wojny niemieckiej Szwedzi powierzyli mu dowództwo po Torstensonie (...).

Polacy, ujrawszy, że Jasna Góra wyszła z gwałtownej napaści nietknięta, dopiero jakby na nowo nabrali odwagi i zaczęli przychodzić do siebie. Coraz powszechniej dostrzegli, że obietnice poszanowania religii katolickiej nic nie są warte, skoro miejsce poświęcone Bogu narażone jest na gwałt ze strony innowierczego narodu. Jednomyślnie zapragnęli zrzucić ze siebie jarzmo i natchnieni nadludzkim duchem, śmiało powstali przeciwko gwałcicielom starodawnych świętości, dopiero wówczas zrozumiałwszy, że pod pozorem przywracania wolności król-protector uciska Polskę nieznośną niewolą; religię ochrania słowami,

a profanuje czynami, pisze i przemawia do szlachty gładkimi słowami, a zezwala na niegodziwości i dopuszcza się okrucieństw. Nie dosyć mu zajmować miasta, wdziera się do klasztorów, odbierając je zakonnikom, przy czym łupem napastników stają się zarówno ozdoby ołtarzy jak i majątki mieszkańców. Zwycięzonym oraz tym, co mu się dobrowolnie poddali, zarzuca opieszałość, a jednocześnie takich, co mu się odważnie opierają, oskarża o zbrodnicze bunty. Czyż to sprawiedliwie pozbawiać życia obywateli, walczących za Ojczyznę z bronią w rękę, jak krnąbrnych poddanych, na mocy prawa, które jest najwyższą niesprawiedliwością? Dlaczego zawzięta zajadłość nieprzyjaciół zwraca się przeciwko bezbronnym kapłanom i miejscom poświęconym na składanie bezkrwawych ofiar? Jan Branecki, biskup enneński i sufragan poznański, mąż stojący na świeczniku Kościoła, został niegodziwie zabity we własnym swym domu; Wojciecha Gowarczewskiego, archidiakona, czyli najstarszego z duchownych tegoż kościoła, podczas drogi pod Zbąszyniem, odciąwszy mu rękę, zepchnięto z mostu, tak że aż woda podeszła kapłańską krwią, czy też raczej zarumieniła się jak gdyby zaświadczając, że jest bardziej ludzka od bestialskich Szwedów. Trudno byłoby wymienić wszystkich księży o mniej głośnych nazwiskach, których po barbarzyńsku potraktowano; samym tylko franciszkanom zabito prawie dwudziestu kapłanów. Później, gdy srożenie się nad ciałami już się uprzykrzyło, dobrano się do ludzkich sumień i tyrańska surowość zaczęła pastwić się nad duszami najbardziej wolnego z narodów: zakazano głościć słowo Boże ludowi katolickiemu, zamknięto usta kaznodziejom i usunięto spowiedników, zabraniając pod karą śmierci oczyszczać się z grzechów przez uszną spowiedź, a wszystko to pod pozorem zapobiegania rozruchom. W taki to zaiste szatański sposób Wirtz w Krakowie a Erskein w Ujeździe pod Sandomierzem zamyślali zniszczyć świętą wiarę.

W tym samym czasie wszystkim domostwom nieustannie groziło niebezpieczeństwo, rodziny nie miały żadnej obrony, wszędzie szerzyły się rozboje i dokonywane były zabójstwa, a podczas łupiestw i rabunków hańbiono kobiety i nawet starców nie zostawiono w spokoju, gdyż jak to zwykle bywa chciwość stawała się przyczyną okrucieństw. Ustała działalność trybunałów, zabrakło sędziów i nie było nikogo, kto by w narodzie pozbawionym władcy czuwał nad sprawiedliwością. Prawem był miecz zwycięzcy.

Wszystko to boleśnie dotknęło naród szlachecki, który nie zdołał jeszcze zapomnieć o swoich wolnościach. Z wolna zaczęto sobie uświadamiać, że pod nazwą protekcji kryją się okrucieństwa dokonywane podczas pokoju oraz szalbiercze podstępny samowładnych rządów. Powszechne stało się pragnienie przywrócenia do tronu prawowitego władcy, którego nieprzychylność losu niedawno pozbawiła panowania. Wszyscy, nawet i tacy, co nie dbali o sprawy publiczne, jasno zrozumieli, że starodawny ustrój królestwa jest naruszony, że podcięte zostały jego podstawy, to znaczy religia i wolność (...).

Nic nie mogło być bardziej na rękę Janowi Kazimierzowi niż to, że Polacy znenawidzili szwedzkiego króla za jego podstępne wiarołomstwa. Na wszystkie zatem możliwe sposoby gromadząc siły, wezwał do siebie do Gło-

gówka znakomitszych spośród dygnitarzy koronnych; założywszy z nimi radę, rozesłał do województw uniwersały, zachęcając hetmanów i dawnych pułkowników do zrzucenia jarzma (...).

Niespodzianie opanowani przez wrogów, gdy mała była nadzieja na rychle posiłki od przyjaciół, musieliśmy polegać, po Bogu, tylko na sobie samych. Był to okres, kiedy wielka pomyślność króla szwedzkiego znajdowała się u swego szczytu, a położenie Polaków, dotychczas beznadziejne, z wolna zaczęło zmieniać się na lepsze. Kazimierz, przekonany, że wygnanie niegodne jest królewskiego majestatu, i nie chcąc, by mu cudzoziemcy wytykali, że opuścił swoich poddanych, gdyż brak mu męstwa, ani też by rzucano mu w twarz obelgi, że został wygnany ze swego królestwa, odważnie gotował się do powrotu. Nieszczęścia nie zdołały go załamać, potrafił znieść dotychczasowe przeciwności i nie lękał się przyszłych. Ciągłe tylko powtarzał: Nie nam Panie, nie nam, lecz Imieniu Twemu daj chwałę! Nieraz widziano go jak w towarzystwie jednego tylko dworzanina całymi nocami modlił się leżąc na ziemi u podwojów kościoła w Głogówku, świadom tego, że Boskiej pomocy trzeba, gdzie ludzka zawodzi.

(Cyt. za: Wespazjan Kochowski, *Lata potopu 1655-1657*, tł. Leszek Kukulski, oprac. Julian Krzyżanowski, Adam Kersten, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1966, s. 92-121)